

DZIECKO PRZEŁOMU

JOANNA PECZENENKO



„jesteśmy cierpliwi
żony nasze cerują niedzielą koszulę
rozmawiamy o racjach żywności
o piłce nożnej cenie butów
a w sobotę przechylamy głowę w tył
i pijemy”
(Zbigniew Herbert, *Ze szczytu schodów*, fragm.)

Każda lekcja powinna być wcześniej dokładnie przemyślana. Początkujący nauczyciel spędza dużo czasu przygotowując się do zajęć: pisze konspekty, precyzuje cele lekcji, określa metody pracy, uwzględniając możliwości uczniów oraz oczekiwane efekty. Ale cóż z tego... Rzadko udaje się przeprowadzić lekcję tak, jak sobie wcześniej założymy, wszystko zgodnie z przygotowanym konspektem, punkt po punkcie... Dla mnie najlepszymi lekcjami są te, gdy uczniowie sami dostrzegą jakiś problem, gdy zauważą to, co w moim założeniu nie było czymś aż tak istotnym... Gdy dochodzi do dyskusji, gdy mogę opowiedzieć im o czymś, co było moim udziałem, wtedy cieszę się, że naprawdę coś się w nich zmieniło, coś wzbudziło ich zainteresowanie. Tak właśnie stało się przy interpretacji wiersza Zbigniewa Herberta „*Ze szczytów schodów*”. Wystarczył jeden wers utworu, aby rozmowa całkowicie odbiegła od Herberta, od podmiotu lirycznego i bogatej metaforyki wiersza. Przestały być istotne: „*toczące się głowy*”, „*rzucanie się na schody*” czy losy „*zakładników lepszej przyszłości*”. Na pierwszy plan wysunęły się słowa: „*Rozmawiamy o racjach żywności*”. Właśnie. O jakich racjach żywności jest tu mowa?...

Mam 34 lata. Jestem dzieckiem przełomu. Pamiętam jak było „kiedyś”, to na mnie, tak jak na innych 30-latkach, niczym na kartce pergaminu odbiły się zmiany ustroju państwowego. Może dlatego potrafię docenić to, co mam, a czego nie zaznali w młodości moi rodzice (pomijając krótki okres rządów Gierka, oczywiście). Wspomnienia są jednak dość mgliste. Zastanawiam się, jak wytłumaczyć gimnazjalistom, czym były kartki na żywność. Niby to takie proste. W dniu wypłaty ojciec przynosił do domu także kilka kolorowych kartek. Pieniądze chował do szafki, w kuchni, pomiędzy workiem z suszonymi grzybami a koszykiem z przyprawami.

Mama „przejmowała” kartki. To ona była odpowiedzialna za to, aby na wszystko starczyło. Określona ilość mięsa, wędlin, cukru, masła, słodyczy, kawy, papierosów czy alkoholu. W tamtym okresie dobrze funkcjonował *czarny rynek* – zawsze można było „na lewo” kupić dodatkowe kartki, zamienić u znajomej „cukier” na „łopatkę”, czy „papierosy” na „kawę”. Byłam wtedy dzieckiem i wydawało mi się to takie naturalne. Byłam niczym człowiek z jaskini Platona, który nie zna rzeczywistości, ogląda tylko cienie odbijające się na ścianie skalnej. To się w moim przypadku oczywiście z czasem zmieniło.

Stałam zapłakana przy kasie w Pawilonie. Tak nazywał się sklep na ul. Wolności, teraz znajduje się tam Biedronka. Mama wysłała mnie po masło. Gdy już miałam płacić z przerażeniem dotarło do mnie, że zgubiłam kartkę na masło. Dla mnie był to jeden z najtragiczniejszych momentów w życiu. Nerwowo przeglądałam zawartość portfela, ale nigdzie jej nie było. Łzy spływały mi po policzkach. „Cóż ja teraz zrobię? Jak wytłumaczę mamie, że zgubiłam kartkę i nie mogłam przez to kupić masła?” Małą, zapłakaną dziewczynką zainteresowała się jedna z ekspedientek. Wzięła mnie za rękę i razem poszliśmy szukać. Logiczne było, że kartka jest o wiele więcej warta niż pieniądze, nawet ja to wiedziałam, że ten, kto ją znajdzie, na pewno nie zwróci znaleziska, będzie się cieszył, że los się do niego uśmiechnął. Oczywiście kartki nigdzie nie było. Sprzedawczyni nie dawała za wygraną. Pochyliła się głęboko do środka lody chłodniczej i zaczęła przestawiać kostki masła. Buszowała, przerzucała, przekładała – robiła to niczym hart, który na polowaniu złapał trop zająca. „Mam, znalazłam!” – zawołała. Poczułam ogromną radość, ale z drugiej strony znowu poczułam niepokój, bo jak wytłumaczę mamie, dlaczego jestem taka zapłakana, dlaczego mam napuchnięte, czerwone oczy.

Uczniowie patrzą na mnie jak na kosmitę. Nie, nie... to nie Mars, to Ziemia, to Polska, to ta Jelenia Góra – taka sama, tylko czasy inne. Wzbudziłam większe zdziwienie niż David Copperfield pokazujący sztuczkę



ze znikającym słońcem czy któryś z uczestników programu „Mam talent”.

Jestem rodowitą jeleniogórzanką. Czuję wewnętrzną więź z tym miastem. Przechadzając się ul. 1-Maja, zastanawiam się, jak to miejsce mogło wyglądać, 100, 200 lat temu. Zatrzymuję się na chwilę przed szybą wystawową jednego ze sklepów. Nie tak dawno mieścił się tu sklep Wedla. Pamiętam, jak po mieście rozeszła się wieść, że przed świętami „rzucą” tam cukierki czekoladowe. Telefony stacjonarne nie były normą, jaką teraz są komórki, ale takie informacje rozchodziły się bardzo szybko na zasadzie „jedna pani, drugiej pani”. Przez trzy kolejne dni mój ojciec od razu po pracy (wracając z nocnej zmiany – pracował w Celwiskozie – przerzucał prasy nasączone, jak to się później okazało, wysoko trującymi chemikaliami) stawał w długiej kolejce w oczekiwaniu na towar. Trzeciego dnia się udało. Przyniósł do domu torbę czekoladowych cukierków. Oczywiście mogłyśmy z siostrą tylko na nie popatrzeć, bo była to zdobycz na święta. Człowiek uczył się wtedy silnej woli, teraz zapewne żadnemu dziecku by się to nie udało. I ten smak, niesamowity i niepowtarzalny – białej masy cukrowej oblanej czekoladą. Tak, tak... czekoladą... nie żadną mazią czekoladopodobną.

Święta mojego dzieciństwa też były inne. Miały swoją magię, tajemniczość i oczekiwanie na nie sprawiało, że był to okres jak najbardziej wyjątkowy. Zapewne idealizuję przeszłość, ale takiego smaku szynki już nie ma. Kiedyś była prawdziwa szynka, teraz wyroby szynkopodobne. I to zapewne nie tylko moje zdanie. Wcześniejsze oszczędzanie na kartkach, żeby na święta było więcej, to nocne stanie w kolejce po mięso sprawiało, że z siostrą doceniałyśmy, co mamy.

Wakacje. W dzieciństwie spędzane u dziadków, rodziców mojego ojca. Żelechów – mała wieś w powiecie garwolińskim. Tam życie toczyło się własnym, powolnym rytmem. W centralnym punkcie, na wzniesieniu, znajdował się kościół – bijące serce jednoczące wszystkich mieszkańców. Latem biło jeszcze mocniej, ponieważ podwajała się liczba mieszkańców. Na wypoczynek przyjeżdżały dzieci i wnuki. To właśnie w Żelechowie pierwszy raz miałam styczność z „oswojoną śmiercią”. Do tej pory z siostrą wspominamy procesje pogrzebowe przechodzące kilka razy w tygodniu przez centrum wsi. To była chyba największa atrakcja wakacji. Początkowo nie

mogłyśmy zrozumieć tej sytuacji, ale później stało się to dla nas czymś zupełnie naturalnym jak bieganie po cmentarzu i strzelanie z rurek.



Na półce, w ramce, stoi zdjęcie mojej babci. Jedyna pamiątka, która mi po niej pozostała. Fotografia przedstawia troje dziewcząt. Ta pośrodku to moja babcia. Na odwrocie widnieje napis: „*Milej i kochanej Złośnicy – Alka Wronówna*”. Ubrane w szyte na miarę mundurki wyglądają dość poważnie, powiedziałabym, że są o wiele starsze niż w rzeczywistości były. Babcia miała wtedy 14 lat. To ostatnie zdjęcie, jakie zrobiono jej w żeńskim gimnazjum. Nie wiedziała wtedy, że z wakacji do szkoły już nie powróci, że nie zobaczy się już więcej ze swoimi koleżankami z fotografii.

To było kilka lat przed II wojną światową. Do drzwi domu zapukał nieznajomy. Od kilku dni kręcił się po wsi przystojny młody mężczyzna w mundurze żołnierskim. Rozmowa była dość krótka. Przyszedł prosić o rękę starszej córki mojego pradiadka. Zosia miała wtedy 16 lat. W rodzinie krążyły plotki, że Zosia nigdy nie dała sobie w kaszę dmuchać, nie bała się przeciwstawić woli rodziców, a co najważniejsze, wyswatała własną siostrę. Wbiegła do izby, popatrzyła na nieznajomego i powiedziała, że ona absolutnie za mąż jeszcze się nie wybiera, co wprowadziło wszystkich w osłupienie. Ale oczywiście, jeżeli panu bardzo zależy na znalezieniu żony, to przecież jest jeszcze Stasia i wskazała na młodszą siostrę. Moja babcia nie miała takiego charakteru jak jej siostra i pogodziwszy się w wolę rodziców, nie wróciła już z wakacji do szkoły. Za to zyskała coś ważnego – męża, do którego jeszcze pół roku po ślubie mówiła: „proszę pana”.

Ostatnio z babcią widziałam się, gdy byłam na studiach. Wzięłam kilka dni urlopu i pojechałam do Żelechowa. Stamtąd miałam bliżej na uczelnię, mogłam w ciszy i spokoju przygotować się do egzaminu z psycholingwistyki. Czas we wsi jakby się zatrzymał – ten sam kościół, te same kapliczki przydrożne, tylko procesje pogrzebowych jakby trochę mniej, bo dorosłe dzieci, wyprowadziwszy się do Warszawy czy Garwolina, zaczęli chować rodziców w miejscach swojego nowego zamieszkania. Już wtedy było widać, że życie z babci ucieka. Ciało odmawiało posłuszeństwa, a oczy jeszcze walczyły. Po dwóch miesiącach babcia odeszła. Nie były dzwony, nie było procesji, nie przyszli sąsiedzi. Babcię pochowano w Iwicznej, miejscowości pomiędzy Warszawą a Piasecznem. Spoczywa obok swojego męża, tego przystojnego pana w mundurze żołnierskim, który wzbudzał zawsze we mnie ogromny respekt.

Moja mama urodziła się w Jeleniej Górze. Tutaj chodziła do szkoły, tutaj zdała maturę i zaraz po niej wyszła za mąż. Zakręcił jej w głowie pewien pan z Warszawy, który przyjechał z kolegami do Jelenie Góry w delegację. Jak przyjechał, tak został. Czasami zastanawiam się, jak dawali sobie radę - praca, dwoje małych dzieci. Po maturze, ale bez konkretnego zawodu, z bagażem w postaci mnie i siostry, trudno było znaleźć jakąś dobrą pracę. Pamiętam, że początkowo mama sprzątała, zamiatała ulice wokół kilku bloków pracowniczych należących do Celwiskozy, a ja z siostrą biegałyśmy wokół niej. Pamiętam też zajęcia prowadzone w Zespole Szkół Ekonomiczno-Turystycznych, gdy biegałam pomiędzy ławkami, zapewne przeszkadzając w prowadzeniu zajęć. Ale cóż.... Mama nie miała z kim mnie zostawić, więc wieczory spędzałam z nią w szkole. Przyprowadziła mnie również na rozdanie dyplomów. Wręczając mamie upragniony dokument, pani powiedziała, że też powinienam otrzymać dyplom, bo miałam bardzo wysoką frekwencję na zajęciach.

I tym oto sposobem mama znalazła pracę w banku. Pochłonięta była ciągłymi obowiązkami, dom, praca, dzieci... tylko jakoś dobrze gotować się nie nauczyła, ale od gotowania w domu był ojciec. Nie wiem jak on to robił, ale zawsze, jak tylko był w domu, to obiad stał na stole na czas. Oczywiście kuchnia wyglądała jak po przejściu nawałnicy i trzeba było ją „odgruzować” po jego kuchennych bojach, ale jedno trzeba było mu przyznać... potrafił

gotować. I to jemu w dużej mierze zawdzięczam te zbyteczne kilogramy, których do tej pory nie udało mi się zrzucić, a jeżeli już, to natarczywie powracały niczym bumerang.

Kilka słów o drugiej babci, mamie mojej mamy. Chociaż zawsze była zapracowaną kobietą, zawsze znajdowała czas dla mnie. Byłam jej ukochaną wnuczką, zapewne dlatego, że pierwszą. Odkąd pamiętam pracowała w Confexie, szła na akord. Było ciężko, ale nigdy nie narzekała. W soboty, po pracy, przychodziła do nas i zabierała mnie do siebie. Czekałam na te jej przyjścia jak na św. Mikołaja. Już od rana biegałam od okna do okna i pytałam się mamy, czy babcia już idzie. Bo u babci, to zupełnie inny świat. Mogłam robić, co chciałam, na wszystko mi pozwalała. Siadałyśmy i przeglądałyśmy stary album rodzinny. Za każdym razem dopytywałam się, kto jest na poszczególnych zdjęciach, ale i tak nie byłam w stanie zapamiętać, kto był kim. Zainteresowanie wzbudzało zawsze jedno zdjęcie mojej mamy. Udawała na nim, że pływa, a jak wszyscy w rodzinie dobrze wiedzą, boi się wody jak ognia.

Latem, gdy miasto powoli zasypiało i otulało się czarną pierzyną lubiłam przesiadywać na balkonie i obserwować majaczące z oddali kontury ratusza, kościoła św. Erazma i Pankracego oraz migoczące gdzieś tam światełka. Potem kolacja. Zawsze było to, co chciałam. I znowu pozostaję w klimacie smaków z dzieciństwa. Jajecznica na boczku z cebulką. Teraz, jak się tak nad tym zastawiam, to babcia też miała swój udział w mojej nadwadze. A gdy leżałam już w łóżku, babcia gasiła telewizor, zapalała lampkę, zasiadała w fotelu i słuchała radia Wolna Europa. Dość długo nie mogłam zrozumieć, dlaczego akurat tak uporczywie próbuje nastawić tę stację, dlaczego w mieszkaniu panuje taka cisza, a babcia niczym tonący, który próbuje złapać tyk powietrza, z ogromnym zaangażowaniem wsłuchuje się w szum radioodbiornika. Niedzielne wyjście do kościoła stało się kolejnym punktem programu oferowanego mi przez babcię. Tutaj nie chodziło o samo przeżywanie Eucharystii, do której jeszcze przez wiele lat nie dorostałam, ale to, co się działo później. Mszę zawsze dzieliłam na trzy etapy. Pierwszy – ten najdłuższy kończył się długim gadaniem księdza (czyli kazaniem), tak niezrozumiałym dla mnie, że mogłoby być wygłaszane po łacinie. Drugi etap to zbieranie pieniędzy. Już wtedy zaczynałam się cieszyć, że zaraz

będzie koniec. I trzeci, ten najbardziej oczekiwany: „*Idźcie, ofiara spełniona*”. Dla mnie to była prawdziwa ofiara. Ofiara, którą trzeba było przeżyć, aby zaraz pójść do Firmowej na przepyszne lody lub galaretkę z bitą śmietaną.

Teraz czasy się zmieniły, jestem już dorosła, założyłam własną rodzinę. Mam męża i czteroletniego syna. Już nie poświęcam babci tyle czasu jak kiedyś. Czasami zadzwonię, jeszcze rzadziej przyjdę w odwiedziny. A babcia?... Często wspomina, jak czekałam, aby zabrała mnie do siebie, a teraz nie mam czasu przyjść. Mam z tego powodu wyrzutu sumienia i obiecuję, że to się zmieni. Jakiś czas temu, popijając wspólnie kawę, zapytałam się jej o wspomnienia dotyczące wojny. Jakoś nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiśmy. Może inaczej – podejmowałam temat, ale babcia zbywała mnie kilkoma zdaniem. Z wojny pamięta niewiele. Miała niespełna dwa lata, gdy wszystko się zaczęło. Wyciąga przy tym małą, pożółkłą fotografię, której nigdy nie widziałam w tyle razy przeglądany przeze mnie albumie. Na zdjęciu są dwie kobiety i gromadka dzieci. Jedna z tych kobiet jest jej matką. Która? Sama nie jest tego pewna. Prawdopodobnie ta młodsza. Ile miała rodzeństwa? Tego babcia też dokładnie nie wie. Jeden z braci zmarł zaraz po urodzeniu, drugiego wywieźli, kolejny trafił do obozu koncentracyjnego, z robót w III Rzeszy powróciło tylko dwóch. „A twoja mama?” – pytam zaciekawiona. - „Co się z nią stało?” Babcia zaczyna opowiadać. Nie wie dokładnie, kiedy to wszystko się działo. Ma do tego prawo. Była za mała, aby to zapamiętać. Historię śmierci swojej mamy zna z opowieści... Mieszkali w Turku, to tam urodziła się moja babcia. Trwa wojna, ale jakoś się żyje... Niczym lotem błyskawicy rozchodzi się po miasteczku wiadomość, że zbliża się front. Trzeba uciekać. Popłoch. Każdy zabiera to, co najpotrzebniejsze. Najważniejsze są dokumenty, nie można o nich zapomnieć. I uciekają. Idą całą grupą. Jest im ciężko. W oddali słychać wystrzały. A oni uciekają... mężczyźni, kobiety, dzieci. W tłumie jest malutka dziewczynka. Zapewne mama niesie ją na rękach, bo dziecko nie ma siły iść samo. Mąż jej nie pomoże. Wraz z najstarszymi dziećmi pojechał na roboty do Niemiec. Ale ona ma nadzieję, że się jeszcze zobaczą. Przecież wojna niedługo się skończy... Nagle słychać straszny huk. To pocisk artyleryjny. Ludzie w panice zaczynają uciekać. Niemiłosierny krzyk i chaos. Kobieta czuje

przeraźliwe ciepło. Wie, że jest ranna, ale musi uciekać.... ma przecież małe dzieci... Zmarła kilka dni później. Próbowano ją ratować. Niestety... W momencie wybuchu upadła na szybę. Całe ciało ma pokryte kawałkami szkła. Niczym ostre ostrza noży przebijają ubranie. Najważniejsze, że małej Jadzi nic się nie stało. Wdało się zakażenie... To był koniec... Dziewczynką zajęły się dobre ciotki. Pod ich opieką przetrwała wojnę. Powrócił ojciec, powróciło dwóch braci. Trzeba było jakoś żyć. Przyjechali na ziemię odzyskane. Tutaj chcieli zacząć nowe życie. Babcia mówi, że wychowywał ją starszy brat. Ojciec powtórnie się ożenił. O macosze babcia mówi niewiele. Troszczyła się tylko o swojego syna z pierwszego małżeństwa, a mała Jadzia była tylko do roboty. Nie zaznała matczynej miłości. Ale brat... on był dla niej i ojcem i matką. Zawsze mówiła: „Mój Marianek”. I chociaż każdy założył własną rodzinę, to zawsze byli blisko siebie, zawsze się wspierali. Marianek już odszedł, ale jest żywy w naszej pamięci.

I teraz tak się zastanawiam... Mam szczęśliwe życie. I cóż z tego, że kiedyś były kolejki, kartki żywnościowe, że niczego nie było w sklepach. To nie jest ważne. Porównując swoje życie z historią mojej babci, nie mam prawa narzekać. Muszę więcej czasu poświęcać rodzinie. Chcę, aby moje dziecko wyrosło na dobrego człowieka. Chcę, aby losy mojej rodziny przetrwały i były żywe w pamięci przyszłych pokoleń.

